Świat i Przyjaciel Zwierząt



Kwartalnik • Nr. 1 • Rok 51 (10)

Cena 1 złoty • • • Warszawa

Organ Zjednoczenia Towarzystw Opieki nad Zwierzętami R. P.

Odezwa

Do Was, bliskich i dalekich, do Was wszystkich, miłujących stworzenia, zwraca się z gorącym apelem Zjednoczenie T-stw Opieki nad Zwierzętami R. P., byście zwartym szeregiem stanęli do wspólnej pracy, do akcji szerzenia pięknej humanitarnej idei — Opieki nad bezbronnym stworzeniem.

Zjednoczenie T. O. n. Z. wie dobrze, że dużo, bardzo dużo jest ludzi dobrej woli, że istnieje olbrzymia rzesza młodzieży miejskiej i wiejskiej, gotowa swe siły i zdolności poświęcić „najbardziej ludzkiej“ idei — Opieki nad zwierzętami, lecz daleko nie każdy wie co i jak trzeba robić, by zadaniu temu dobrze sprostać; inni znów szukają odpowiedzi na szereg pytań z dziedziny hodowli, leczenia zwierząt, bądź też w wypadkach koniecznej osobistej interwencji, gdy fakt znęcania się nad zwierzęciem został ujawniony.

Chcąc każdemu dać możność wejścia w bezpośredni kontakt ze Zjednoczeniem, Zarząd tegoż otworzył u siebie (w Warszawie przy ul. Wilczej Nr. 47/49) — specjalną skrzynkę, prosząc by do niej zgłaszali się listownie wszyscy ci, którzy mają zapytania, związane z działalnością Zjednoczenia, jak również ci, którzy posiadają stwierdzone dane o wypadkach okrucieństwa lub też aktach miłosierdzia i poświęcenia się.

Żadne z pytań nie pozostanie bez odpowiedzi. — Szczęść Boże w naszej wspólnej idei, w naszej wspólnej i tak wdzięcznej pracy!

Nr. 1 Warszawa — 1938 Rok 51 (10)

Świat i Przyjaciel Zwierząt

Organ Zjednoczenia Towarzystw Opieki nad Zwierzętami R, P.

ADRES: REDAKCJI WARSZAWA, OLESIŃSKA 5 • TELEFON 4-25-73.
ADMINISTRACJI — WILCZA 47/49, TELEFON 8-66-44.

Z księgi mądrości Wschodu

Jak dobrze, że Stwórca nie dał zwierzętom i ptakom charakterów i wad ludzkich: biada wtedy ludzkości!

*

Zanim usiądziesz na ziemię, chustką twoją sprzątnij to miejsce, abyś nie zgniótł najmniejszego bodajby Stworzenia Bożego, które przed tobą przecież w niczym nie zawiniło.

*

Kochaj Przyrodę z całej duszy twojej. Nie rób złego nikomu: ani zwierzętom, ani ptakom, ani rybom, ani owadom, ani gadom, ani roślinom. Nie wszystko to co żyje raduje się wraz z tobą dniem dzisiejszym, cieszy się ze słońca i chwali, — bezwiednie może, — Tego, kto Stworzył Wszechświat.

*

Przyroda wie dobrze, kto jest dla niej dobry, a kto okrutny. Temu, kto nie czyni złego, pewną i spokojną będzie droga życia jego: ominą go niebezpieczeństwa, w rozpalonych piaskach pustyni znajdzie on źródła czystej wody, gwiazdy w nocy wskażą mu prawdziwy kierunek. A gdy spełnią się dnie przeznaczeń jego, odejdzie w świat niewidzialny, jako syn ukochany, wracający do matki swej umiłowanej, po wielu dniach uciążliwej podróży, pełnej niebezpieczeństw.

*

Spójrz w oko wilka, lwa, psa, orła... Jeżeli zobaczysz w nim wrogi do ciebie stosunek, nie bądź sędzią, nie karaj, — albowiem *człowiek* jest winien temu, że niema ufności pomiędzy nim a zwierzętami.

*

Gdy płaczesz i smutno ci jest na duszy, — jakbyś bardzo chciał, ażeby inna dobra ręka pieszczotliwie dotknęła czoła twego. Nie przeklinaj szakali co wyją, bo są głodne.

*

W księdze dziejów ludzkości prowadzi się skrupulatnie ewidencję dobrych i złych uczynków. Biada ci, gdy się przyczynisz do zwiększenia zła naokoło siebie, a złem takim jest przede wszystkim *krzywda*, którą wyrządzasz ludziom, zwierzętom i roślinom.

*

Wielki Duch powiedział: „dając wam życie, dałem z ducha mego, byście poznali sens prawdy, której na imię — sprawiedliwość. Ona wskaże wam, jak trzeba żyć, i do czego dążyć. Ona będzie waszą ukrytą myślą, waszą tęsknotą do lepszych czasów, które nie przyjdą do was same, lecz wraz z nią".

*

Gdy sługa twój powie ci: „panie daj mi innego konia, bo ten na którym jeździłem wczoraj jest zmęczony, szkoda mi jego," — nie gniewaj się, lecz postaw go nad służebnikami twoimi, jest bowiem wart tego, a będzie dbał o ciebie i mienie twoje.

*

Gdy spotka cię radość, podziel się z nią z całym domem twym; niech cieszą się wszyscy: i rodzina, i służba i zwierzęta co w domu zamieszkują, i te co w stajni i tamte co w oborach. Radość twa będzie wówczas zupełna, trwała i błogosławiona.

J. S-n.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na r. 1938



Warner Bros. Films National

Sybil Jason z pięknym szkockim terierem, specjalnie nadającym się na towarzysza dzieci.

Włodzimierz Rabczewski

PIES PIASTUNKĄ KURCZĘCIA

Macierzyństwo zarówno u zwierząt, jak u ludzi, stanowi główną podstawę rozwoju życiowego. Jest matka, zdrowa, normalna – dziecko ma należytą opiekę, właściwie się rozwija, dobrze hoduje i rośnie, po krótce — ma wszystkie szanse być zdrowym, a więc i pomyślnym.

Instynkt macierzyństwa, a jest to bezsprzecznie instynkt przyrodzony, jest tak potężny, że dla niego i przezeń matka gotowa roztaczać jak najdalej posuniętą — „matczyną" — opiekę nie tylko nad swymi dziećmi, lecz i nad dziećmi obcymi. Znane są liczne przykłady piastowania dzieci obcych sobie gatunków, a nawet wrogich.

Tak, — psina wykarmia osierocone kocięta. Psice mają serca szczególniej skłonne do ofiarnego macierzyństwa. A pochopna mitologia łacińska — wykarmienie opuszczonych pierwszych książątek rzymskich Romulusa i Remusa przypisuje nawet wilczycy.

Wśród ptaków również spotykamy takie przybrane matki. Kwoka częstokroć prowadzi poza swoimi i obce opuszczone kurczęta; gołębice czynią to również. Nawet nasze drobniejsze ptaszki — gajówka, muchołówka, ródzik — udzielają rodzicielskiej opieki opuszczonym pisklętom - sierotom, a żyjąc w klatce w niewoli, uchodzą za najlepszą mamkę.

Przyroda bogato obdarzyła szlachetnymi cechami macierzystwa w stosunku do obcych dzieci szereg gatunków ze świata zwierzęcego. Jednak bardzo rzadko ujawnia się ono w stosunku do przedstawicieli odrębnych rodzai.

A właśnie możemy odnotować ten bardzo rzadki przypadek.

W Aninie pod Warszawą u pp. Z. hoduje się od 8 lat suczynka-pinczerka „Lady" razem ze swoim 5-letnim synem „Jimem". Do pięciu lat suczynka ta miewała małe, od 3 zaś lat już nie miewa, ale wciąż jest mocno przywiązana do swego syna i często go liże, jak małe szczenię.

Bieżącego lata w obejściu kwoczka wysiedziała 15 kurcząt, z których jedno było bardzo słabe i nie mogło nadążyć biegać za pozostałą dziatwą i kwoką. Kończyło się tym, że pisklę, napiszczawszy się ponad siły, wyczerpane stawało pod krzaczkiem z przymrużonymi oczami i drzemało, a z przyrodzonej słabości i tej desperacji miało wygląd coraz więcej nędzny. „Lady", wygrzewając się na słońcu, przyglądała się chuderlakowi przez kilka dni i coraz uważniej. Wreszcie pewnego pięknego dnia podeszła ostrożnie do chudziaka i zaczęła go oblizywać, i tak już przez cały dzień i kilka następnych — wciąż była przy nim, wciąż go pilnowała, pozwalając mu wygrzewać się pomiędzy przednimi jej łapkami i oblizując go przy tym, co uspakajająco działało na biedne opuszczone kurczątko. Trwało tak przez cały tydzień, przy czym czas od świtu do świtu kurczątko spędzało pod kwoczką, od wschodu zaś do zachodu — pod opieką suczynki i przeważnie pomiędzy jej łapkami. Jakiś przyrodzony feler nie pozwolił kurczęciu wydobrzeć — i po 10 dniach zgasło. A „Lady" — ta matka wolenterka — nie odstępowała go do ostatniego tchnienia.

Możnaby powiedzieć — „wzniosłe, jak macierzyństwo".



Józef Slepowron

OBSERWUJCIE ZWIERZĘTA!

Nieraz w życiu spotykamy się z ludźmi, z którymi wszelka rozmowa na temat inteligencji zwierząt sprowadza się do niespodziewanej konkluzji: „eh, co pan tam też wymyśla o jakich inteligencjach! Czy to człowiek, co? Tak ot, zwierzę, co ma pewien instynkt... Co? dusza? ha-ha! Jakaż jeszcze dusza? No już tego za wiele“!

Ci, co tak mówią nie zastanawiali się i nie zastanawiają się nigdy nad życiem zwierząt i ptaków, nie obserwują ich życia codziennego, ich zmysłu, zręczności, dowcipu i wielu innych zdolności, które niewątpliwie wskazują na większy, lub mniejszy stopień inteligencji, niekiedy — powiedziałbym — wybitnej szlachetności.

Mówią często: „głupia, jak kura“... Czyżby naprawdę kura miała być aż tak przysłowiowo głupią?

Bynajmniej, — twierdzą nawet, że kura potrafi doskonale liczyć, a oto fakt:

Na wsi, znany mi gospodarz miał dwie kury; pierwsza miała 4 pisklęta, druga 9.

W dzień pierwsza doskonale rozpoznawała swoje „dzieci“, i tylko je przyjmowała pod skrzydła, zaś wieczorem gdy, przy t. zw. „kurzej ślepocie“, nie widziała nic, lub prawie nic, — dopuszczała do siebie pisklęta innej kury, lecz nie więcej, jak czworo.

Eksperyment tego rodzaju był robiony odwrotnie, z drugą kurą, — rezultat był ten sam: w nocy brała ona pod swe skrzydła 9 sztuk małych (wśród nich mogły być nawet obce), lecz nigdy nie więcej, niż 9. Dowodzi to wyraźnie, że kura liczyć potrafi.

Mój Boże, ileż pań domu niekiedy dobrze policzyć nie potrafi.

Spryt i dowcip psa jest powszechnie znany, lecz narazie mało ceniony, jak wogóle niedostatecznie u nas jest ceniony stosunek zwierzęcia do człowieka.

Opowiadano mi o pupilu moich znajomych, dobermanie „Rum'ie“, który każdego ranka chodzi z kucharką na targ, przyczym tam i z powrotem niesie w zębach kosz, niekiedy nawet dość ciężki.

Zdażyło się właśnie któregoś dnia, że kosz był przeładowany wszelkiego rodzaju pakunkami, więc, gdy „Rum“ przyniósł go do domu, to nie mógł wnieść na drugie piętro do kuchni, dokąd już weszła kucharka. Co tu robić? Trzeba zanieść, a nie może dać rady. Namyśla się, opuszcza kosz na podłogę, wyjmuje zębami większą paczkę — i niesie do góry. Potem wraca, i w ten sam sposób zanosi drugą, potem trzecią, a wreszcie, gdy kosz już stał się lekki,— chwyta go w zęby i triumfująco ciągnie do kuchni.

Przyzna chyba każdy, że tego rodzaju czyn nie może być tłumaczony jakimś instynktem“.

W moim domu doskonale się bawią pieski (pekińczyki) z kotem. Któregoś dnia jeden z piesków podchodzi do mnie, drapie mnie łapą i coś mruczy.

Widzę, że chce mi coś „powiedzieć“. Wstaję i pytam: „no, co chcesz“? Pies ucieszony leci naprzód i od czasu do czasu odwracając się do mnie, prowadzi do sypialni, a tam do dużej szafy, przy której staje i znów postękuje.

Słyszę w szafie jakieś szmery, jakieś ruchy. Otwieram... Tam siedzi przypadkowo zamknięty kot,

Cieszymy się wszyscy razem, a fakt ten skwapliwie notuję w swej pamięci, jako „jeszcze jeden argument". Podróżując dużo po świecie słyszałem nieraz o ciekawych faktach, stwierdzających jak często, w chwilach niebezpieczeństwa, zwierzęta symulują śmierć.

W jednym z majątków wschodniej Rosji pokazywano mi byka, który lubił wchodzić na zakazany teren np. do ogrodów, a gdy go wypędzono stamtąd to padał „trupem" i udawał zmarłego, póki służba starała się go siłą wyciągnąć za bramę, i dopiero ukazanie się lubianego przez niego pastucha sprawiało, że momentalnie zmartwychwstawał.

Pewien gospodarz na Syberii opowiadał mi o lisie, którego przyłapał w domku dla ptactwa domowego. Lis tak się przestraszył człowieka, iż upadł na podłogę jak martwy. Sądząc, że lis się obżarł i zdechł, gospodarz zabrał go do domu i położył na kanapie przy otwartym oknie. Zaledwie gospodarz odstąpił na krok w bok, lis skoczył na równe nogi, a za chwilę był już na wolności.

Znane są fakty, że wilki, gdy niespodziewanie trafią do głębszego rowu, udają martwych, zanim nie zostaną wyciągnięte na wierzch.

Myszy robią to samo, albowiem kot w większości wypadków, gdy jest syty, porzuca martwą mysz; — lecz koty dobrze o tym wiedzą i umyślnie udają, że odchodzą, lecz gdy mysz zaledwie się poruszy, rzucają się do niej i chwytają nieszczęśliwą w swe mocne pazury.

Fakt udawania zmarłych jest dorbze znany wśród tych co polują na słoni.

Myśliwi w stosunkach egzotycznych bardzo często obserwują symulację śmierci, stosowaną przez małpy.

Mając obok siebie dużo pokarmu, małpy kładną się obok, udając ciężko chore, lub zmarłe; wówczas wrony i inne ptaki zlatują się na pozostawione jedzenie. Małpa obserwuje wszystko przymrużonym okiem, raptownie zrywa się z miejsca i chwyta nieostrożnego intruza, którego najczęściej oskubie „do goła", a potem wyrzuci.

Wygląda to na okrutną karę, na swego rodzaju „wymiar sprawiedliwości".

Nadmienić jeszcze należałoby, że niektóre drobne stworzonka np. owady (pająki, żuki i tp.) doskonale udają zmarłych, uciekając się do tego przy grożącym im niebezpieczeństwie.

Cały świat prowadzi walkę o byt, jedni napadają, inni się bronią. Vae victis! Natura jest okrutna, lecz pełna sensu. To też obowiązkiem naszym jest szukanie prawdy w naturze, albowiem wielkim błędem jest mniemanie, że tylko człowiek może myśleć, że tylko on ma „duszę i serce" i że słowo „inteligencja" nie powinno być stosowane do zwierząt.

Dużo pięknych i mądrych tajemnic pozna każdy, kto czyta otwartą dla wszystkich odwieczną księgę przyrody, kto stara się zrozumieć jej prosty a tak szlachetny język.



Przyjaciele. Fot. Loga.



P. Krysia Wawrzecka w towarzystwie młodych lwiątek.

Kornel Makuszyński

Teraz kolej na ryby

Nikt zapewne nie zwrócił uwagi na zamieszczoną w najciemniejszym kącie gazety notatkę, że skóra dorsza, niepożytecznie dotychczas marnowana, nadaje się wybornie do wyrobu damskich bucików. Przyszła kryska na Matyska. Pożądliwe damskie oko wypatrzyło i tę spokojną rybę morską, mało zresztą cenioną wśród smakoszów, albowiem czym skorupka za młodu nawrze, tym na starość trąci, a dorsz trąci tranem. Ćwiartowano go jednakże nielitościwie i to jedynie było jego pociechą, że nie ściągano z niego skóry. Piękna kobieta jest okrótna. Wyobraża sobie, że wszystko, czym przyroda zapełniła ziemię, ma jej służyć. Nawet ten nieszczęsny dorsz.

Przed niewielu laty mordowano dla niej kolorowe ptaszki, głupkowata bowiem moda nakazywała, aby dama nosiła na głowie wielkie gniazda kapeluszów, na których siedziały biedne ptaszęta, wypchane i patrzące szklanymi oczami. Widok był czasem niemal, że koszmarny, gdyż dama z obliczem puszczyka lub sowy, stroiła głowę gromadką zielonych papużek, kolorowym skrzydłem dzięcioła, lub główkami jakichś innych niewinnych piskląt. Straszne to było i zgoła okropne. Dobrzy ludzie podnieśli krzyk, że się tak nagminnie morduje biedne stworzonka, więc damy z litościwym sercem dały spokój małym ptaszkom i na odmianę zabrały się do dużych. Znowu taka przyszła moda, że z głowy modnej donny musiało spływać ogromne pióro, żywcem wyrwane z odwrotnej strony biednego strusia. Z kapelusza, wielkiego jak młyńskie koło, spływała miękkość strusiego pióra, farbowanego na rozmaite kolory. Mordowano przeto strusie, które głupie z przyrodzenia, nie mogły pojąć tego dziwactwa. I to się jednak znudziło damie, poszukującej wiecznej odmiany, więc sobie upatrzyła śliczne czaple, edyktem sprytnych ludzi z Paryża skazane na zagładę. Na damskich kapeluszach drżały delikatne czaple pióra „rajery", misterne i kosztowne. Moda jak tygrys rzucała się na każde żywe stworzenie; wyrywała z niego pierze, ściągała z niego skórę, obcinała mu głowę. Przywykł do tego straszliwego procederu nieskalany gronostaj, czerwonooka łasica, jedwabisty soból, zwinna wydra i najmędrsze zwierzę świata: bóbr. Do tego biedaczyny dobrano się tak dokumentnie, że nie można czytać bez głębokiego wzruszenia książki pół-Indianina zwanego „Szara Sowa", co napisał rzewne historie o straszliwej klęsce bobrów kanadyjskich, wygubionych niemal że doszczętnie. Gdy się czyta o parze bobrów, co od maleńkości wychowane zostały przez człowieka i przywiązane do niego były tak, jak najwierniejszy pies się nie przywiąże, co spały z nim na jednym posłaniu i jak oszalałe z radości witały go po rozłące, nie można się uspokoić, dowiedziawszy się, że i te dwa niewinne stworzenia ktoś wreszcie gdzieś zatłukł pałką. Taki to już los. Co tylko żyje na bożym świecie, musi oddać swoją skórę człowiekowi. Nawet—jak się pokazało — i dorsz. Zagłada grozi coraz to innym gatunkom. Jak długo ludzie mieli grube pieniądze, śmierć tropiła na wielkich górskich wysokościach malutkie chinchile, których futerko jest jak pieszczota. Skoro zaś zabrakło pieniędzy, panika padła na koty, dotąd spokojne i bezpieczne, czarną jednak zgryzotą tknięte od chwili, w której się okazało, że przedziwną sztuką można z kota zrobić gronostaja lub sobola, lub inne rzadkie zwierzę. Człowiek wszystko potrafi. Na wiosnę w podwarszawskich okolicach chłopaki wybierają z gniazd młode wrony, które robią ogromną karierę, bo je Warszawa zakupuje jako młode kurczęta. Koń na patelni nigdy nie rży, a wrona nie kracze. Kot na kołnierzu też nie miauczy.

W ostatnich latach przemyślna moda zwróciła swoje straszne, nielitościwe oko na gady i płazy. Zdawało się, że niewiadomo było dotąd, po co istnieją w przyrodzie różne straszliwe potwory: krokodyle, aligatory, kajmakany, węże boa, anakondy, okularniki, grzechotniki, jaszczurki olbrzymie, po co istnieją rekiny? Okazuje się teraz, że zapobiegliwa przyroda przysposobiła tę potworną menażerię na damskie obuwie i torebki. Teraz kolej przyszła na dorsza, jutro przyjdzie na homara, na węgorza i delfina. Okaże się niedługo, że zwierz tak napozór bezcelowo w brzuchu ludzkim mieszkający jak diobothriocephalus latus, doskonale nadaje się na paski, którymi damy opasują biodra.

Musi to być ironiczna zemsta kobiety nad wężem za rajską awanturę, że się ze skóry jego prawnuka robi buty. W tym kształcie, pieściwie zmniejszonym, wydają mi się wszystkie potwory dziwnie nieszczęśliwe, że ich grozą zmiażdżono, wyprawiono i zmieniono w jakiś groteskowy przedmiot do figlarnego użytku. Nieswojo musi się czuć krwawy tygrys morza — rekin, kiedy zamiast ludzkiej nogi, ma w sobie pudełeczko z pudrem, grzebyk i pomadkę do zmieniania wdzięcznych ust w krwawiącą polędwicę. Ze szczętem skapiał, biedaczysko... Musi się teraz odbywać straszliwa nagonka na nieszczęsne potwory; co drugi sklep jest pobojowiskiem krokodylów i pytonów. Handel przy tej sposobności odbywa się zamienny: najpierw ktoś zdarł skórę z boa — dusiciela, a potem za to ktoś inny ściąga skórę z miłej damy i za to daje jej tamtą skó-

rę, pięknie nakrapianą. W ten to sposób cicha i do orchidei podobna kobieta ujarzmiła puszczę i przy sprzyjającej okoliczności może wyglądać, jak arka Noego: na głowie ma fokę, albo kota, albo królika, albo jakiegoś małpiszona i ptasie piórko — na szyi lisa, lub rysia — na grzbiecie popielice, albo barany najróżniejszej maści, albo źrebię niewinne, albo krowę, albo jej syna cielaka, gronostaja, albo antylopę, albo jaguara — na nogach węża, albo jaszczurkę, albo rekina albo dorsza, — na rękach łosia, renifera, ciele zamordowane, dzika — pekari lub pogodną swojską świnię — w rękach torbę z krokodyla, a w torbie grzebyk z żółwia i lusterko, oprawne w skórę jaszczurki. Nie wyliczyłem, oczywiście, nawet połowy kobiecej zdobyczy, gdyż jestem w tych sprawach ciemny, jak kmiotek. Nie mogę przeto bez dreszczu grozy patrzeć na te szyby sklepów, za którymi wiszą kilkumetrowe wężowe skóry. Wciąż mi się wydaje, że jedną z nich złupiono z najsympatyczniejszego pytona Kaa, który tak wspaniale walczył w obronie Mowgliego z małpim ludem Banderlogu u Kiplinga. Tak, tak.. Wielkie to szczęście, że ludzka skóra jest tandetna i i dość tania, gdyż może już i z tego materiału robiono by torebki. Zresztą towar ten zastrzeżony jest dla urzędów podatkowych.

Mężczyźni mają, widać, bardziej miękkie serca. Dawniej w jaszczur oprawiano karabele, od owych jednak czasów mężczyzna nie nastaje na płazy i gady. Czasem nosi jedynie węża w kieszeni, pozatem jednak niezbyt pomnaża udrękę zwierza. Nigdyby mu nie przyszło do głowy, aby robić dla siebie buty ze skóry dorsza. Tu i ówdzie zedrze wprawdzie skórę z jakiegoś czworonoga i nie można powiedzieć, żeby całkowicie był bez winy, nie w tym stopniu jednakże co wiotka kobieta, która pysznie mniema, że wszystko co żyje, dla niej żyje. Mężczyzna jest jej jedynym dostawcą i on jest mordercą jeneralnym, rzeźnikiem i katem. On to, aby się przypodobać kobiecie, sieje śmierć i zniszczenie. Nie zdarzyło się, aby dama łowiła rekiny, albo krokodyle, albo na wyspach fok tłukła je pałką. Na te wyprawy wysyła mężczyznę, ponurego zbójcę. I dlatego znieważona przyroda nie kobietę przeklina i nie na nią płacze, lecz na niego. Płaczą na niego krokodyle sieroty i małe rekiniątka. A teraz dorsze. Nikt inny tylko mężczyzna wymyśla co roku nową modę i o szał przyprawia damskie dusze.

A cóż to za ponura osobistość! Nie ma za grosz dumy i za grosz odporności. Niech mu tylko kobieta powie: — „Daj mi luby krokodyla!" — on, zamiast jej rzec: — „Sama go sobie pani złap!" — bieży czemprędzej nad nilowe wody i ściąga z niego siódmą skórę. Gdyby się mężczyzna zbuntował i nie chciał mordować, spokój byłby na świecie. Nigdy go jednakże nie będzie, bo za jeden kobiecy uśmiech mężczyzna złupi skórę z samego diabła i zrobi z niej dwa tuziny torebek, a z diablich rogów guziki. Niewolnik i tyle. Dać mu tylko karabin do ręki, a wygubi wszystkie zwierzęta świata, jak wygubił już bobry i, zdaje się, rysie. Bezbronna przyroda znalazła jeden jedyny rodzaj zemsty, zemsty okrężną drogą. Mężczyzna morduje i przerabia zdobycz na modne przedmioty, potem zaś sam to musi kupować i drogo za to płacić, bo mu kobieta inaczej zatruje życie. Za to, bęcwał jeden, za te wszystkie pytony i anakondy, za skórki z jaszczurki, za buciki z ryby, za rekiny i wielcryby, dostanie na imieniny nieśmiertelny krawat. Kobieta bowiem przez długie wieki nie wymyśliła dotąd innego podarunku dla zbrodniarza, prócz stryczka — krawata.

Patrzyłem długo, tłumiąc w sobie bulgocące gniewy, na tę rzeź stworzenia. Można było wybaczyć tygrysa, ostatecznie krokodyla, który potrafi też niezgorzej jednym kłapnięciem paszczy oberwać dżentelmenowi nogę, albo go połknąć bez głębszego zastanowienia. Dobił mnie jednakże ten niewinny dorsz, spokojna ryba, co nigdy nikomu nie uczyniła krzywdy. Żeby mnie mieli zabić, nie będę nigdy nosił butów z dorsza. Wstydziłbym się. Rozumiem, że można zrobić zupę z ryby, kotlety z ryby, galarety z ryby i co tam jeszcze pani Elżbieta wymyśli. Ale obuwie z ryby? W głowie się mąci... Największym wynalazcom na myśl to nie przyszło. A nie ulega to przecie najmniejszej wątpliwości, że będzie to jedynie sezonowa zachcianka, znudzi się babom dorsz, okaże się natychmiast, że można też wyprawić łososia, czy tuńczyka. Miała rację ta stara czapla z bajki, trochę ślepa, trochę krzywa, co rzekła rybom:— „wy nie wiecie, a tu o was idzie przecie". — Dotąd nie rozumiały, teraz boleśnie pojmą sens tych słów.

Tak cudacznie odziana kobieta przypomina dziwnego stwora, o którym powiada Homer — „Zprzodu wąż, z tyłu lew, a w środku koza". Dziwo takie zwało się — chimerą. Teraz dopiero pojmuję wiele z tajemnic kobiecej natury.

NAWET WIĘZIEŃ może się codziennie swobodnie poruszać i zaczerpnąć świeżego powietrza.
A TWÓJ PIES? który dniem i nocą pilnuje Twego dobra, którzy jest w każdej chwili gotów stanąć w Twej obronie, — czy może być gorzej traktowany od więźnia? Pozwól mu choć przez godzinę dziennie zakosztować swobody i rozprostować zmęczone członki. Uczynisz go nie tylko szczęśliwym lecz dasz mu zdrowie i sam będziesz miał korzyść z tego.

KOT W KAGAŃCU

CZYLI SEN WETERYNARZA



Fot. Czarnecki

Kotek p. prof. Junowicza

Doktór weterynarii p. Mieczysław Wołojad — Wytryniarski był wielkim miłośnikiem zwierząt I nietylko z tytułu swego zawodu niosącego, jak wiadomo, ulgę i ukojenie stworzeniom cierpiącym i umierającym bez głosu i mowy. Pan Wołojad był animalistą z krwi i kości: należał do miejscowego Tow. Opieki nad Zwierzętami i bywał regularnie na zebraniach zarządu; oburzał się nietylko z powodu katowania koni, wlokących po kocich łbach przeładowane wozy ciężarowe nietylko z powodu partackiego, niefachowego kucia tychże koni, nietylko z powodu okrutnych i demoralizujących młodzież wyczynów rakarskich — oburzał się nawet na widok podmiejskich uliczników, niszczących gniazda wrzaskliwych gawronów.

Pan Dr. Wołojad - Wytryniarski był animalistą czynnym: dzięki jego to osobistej energii i inicjatywie odbył się w naszym mieście „Dzień dobroci dla zwierząt". Dr. Wołojad nietylko zorganizował tę piękną uroczystość, lecz sam w niej wziął udział, krocząc w pierwszych szeregach z dobrze wypasionym kotkiem na ręku — ulubieńcem jego i całej rodziny — buropręgowatym Milusiem. Poza tym dr. Wołojad miał w obszernej klatce szczygła i kanarka, które osobiście doglądał. Gdy stało się, że dnia pewnego krwiożerczy Miluś zdołał przemyślnie wyciągnąć szczygła z klatki i zjeść, dr. Wołojad szczerze a rzewnie zapłakał. Widzimy więc, dr, Wołojad miał serce czułe.

Ale obok czułego serca miał on jeszcze dwie cechy: był na punkcie poczucia obowiązku nieustępliwy, pod tym względem był wcieleniem rygoryzmu. Drugą cechą — cechą poniekąd wrodzoną — był u niego paniczny lęk przed wścieklizną. Wprawdzie normalna obawa przed tą straszną chorobą jest zrozumiałym objawem u każdego normalnego, rozsądnego człowieka. Jednak obawa wścieklizny była u dr. Wołojada tak dalece posunięta, że gdy tylko gdziekolwiek zdarzył się wypadek ukazania się psa wściekłego, lub nawet wieść o takim wypadku — dr. Wołojada ogarniał istny szał. Miłość do zwierząt ulatniała się błyskawicznie, a na jej miejsce zjawiały się groźne i drakońskie pomysły, wytępienia wszystkich psów i kotów, lub przynajmniej zamknięcia ich w jakimś miejscu odosobnienia, niby pod drucianym kloszem jakiegoś gigantycznego kagańca...

* * *

Zdarzyło się, że na przedmieściu Szakaliszki ukazał się wściekły pies. Czy był istotnie wściekły? — Historia różnie o tym mówi. Niektórzy powiadają, że działo się tam jak w znanej nowelce Czechowa: ...„ponieważ pies, gdy się nań rzucono z kijami i siekierami, zaczął uciekać — uznano go za wściekłego... Jak tam ściśle było — niewiadomo..

Ale już nazajutrz w godzinach rannych do gabinetu pana Starosty zgłosił się dr. Wołojad z projektem rozporządzenia „w przedmiocie" zwalczania wścieklizny.

Pan starosta — sam wielki miłośnik zwierząt, a ponadto właściciel pieska, kotka i kanarka, przeczytał projekt raz i drugi. A potem poskrobał się w głowę:

— Pisze pan: psy muszą być prowadzone na smyczy przy jednoczesnym zaopatrzeniu w bezpieczne kagańce... Dlaczego — i smycz i kaganiec? Czy nie wystarczyłoby napisać: albo smycz, albo kaganiec?

— Trudno, panie starosto—odparł dr. Wołojad— przepisy tego wymagają...

Starosta westchnął:

— Przepisy, przepisy No, dobrze.. Ale dlaczego w tym samym paragrafie zakazuje pan swobodnego puszczania kotów? I co to wogóle znaczy „swobodne" puszczanie kotów? Czy, pańskim zdaniem, koty też muszą być prowadzone na smyczy i zaopatrzone w bezpieczne kagańce?

Dr. Wołojad na chwilę zaciął się, lecz zaraz referował dalej.

— Istotnie: kota na smyczy trudno jest prowadzić (w tym miejscu doktór wyobraził siebie, lub swoją żonę, prowadzących na smyczy Milusia), również odpowiednich kagańców dla kotów jeszcze nie wymyślono... Ale, panie starosto, wszak w rozporządzeniu niema mowy o smyczy lub kagańcu odnośnie kotów.



Fot. W. Katzal.

Dzieci są bardzo skore do nawiązania przyjaźni z psami, chętnie zabierają psy na dalsze spacery.

Czy liście paproci zapobiegają mnożeniu się pcheł?

Panuje tu i ówdzie mylny pogląd, iż liść paproci używany jako ściółka wypędza i zabija pchły. Ponieważ pogląd ten nie jest zupełnie słuszny, jest wskazanym wyjaśnić działanie tego środka.

Krzew paproci (Aspidium filix m.) przeciwdziała jedynie rozmnażaniu się pcheł, ponieważ larwy pchle żywią się sproszkowanymi składnikami ściółki i pożerając sproszkowaną paproć, giną. Pchły rozwinięte — paprocią się nie żywią, gdyż pożywieniem ich jest krew. Oczywiście, okres wegatacji pchły nie jest długi i ginie ona w stosunkowo krótkim czasie. W ten sposób zostaje pies uwolniony od pcheł i od ich zarodków, o ile niema sposobności zetknąć się z innymi zapchlonymi towarzyszami. Liść paproci jako ściółkę należy zmieniać co 2—3 tygodnie.

Der D. „Pelztierzüchter“

---

tam mowa jest o zakazie swobodnego puszczania kotów...

— Jeżeli jednak pisze pan o swobodnym puszczaniu kotów, więc eo ipso ma pan na myśli, jakieś inne puszczanie — nieswobodne, które ma być dozwolone. Otóż właśnie zapytuję pana: co pan rozumie pod nieswobodnym puszczaniem kotów? Czy koty też mają być ubrane w kagańce i prowadzone na smyczy?

Dr. Wołojad zaciął się poraz drugi — tym razem na dłuższą chwilę. Ale i tu wybrnął z sytuacji:

— Trudno, panie starosto, przepisy obowiązujące...

Starosta raz jeszcze podrapał się w głowę, westchnął głęboko i — podpisał rozporządzenie obowiązujące w przedmiocie walki z wścieklizną na terenie miasta... N..

* * *

A nocy tej dr. Wołojad przyśnił dziwny sen.

Sen był jak gdyby inscenizacją znanej ballady puszkinowskiej.

Nad błękitną zatoką morską, na zielonym wzgórzu rósł piękny, rozłożysty dąb. Z dębu tego zwisał misterny łańcuch szczerozłoty, spleciony w kształt smyczy. Do smyczy złotej uwiązany był piękny, uczony kot. Kot ten spacerował miarowym krokiem— raz na lewo, raz na prawo. Idąc na lewo opowiadał niestworzone bajki o zarządzeniach inspektoratów i referatów weterynaryjnych, idąc na prawo — zaciągał jakąś pieśń smutną i posępną, w której brzmiały jednak groźne pomruki, niby zapowiedź nadciągającej burzy...

Sen narazie nie był straszny. Błękitna zatoka, zielony dąb, złoty łańcuch (smycz) — wszystko to było romantyczne, piękne, wcale nie groźne. Doktorowi wydało się nawet pierwszej chwili, że kotem na złotej smyczy jest jego własny kot Miluś. Rychło jednak spostrzegł, że się omylił. Miluś nigdy nie miał takich strasznych, krwawo jarzących się oczu, nigdy nie wydawał takich groźnych pomruów, no i nigdy nie chodził na smyczy... Przyjrzawszy się lepiej dr. Wołojad dostrzegł jeszcze jeden szczegół niesamowity:— kot był nietylko na smyczy, ale i w kagańcu — w pięknym, złotym kagańcu...

Dr. Wołojad uczuł niepokój. Niepokój rychło zmienił się w lęk, gdy ujrzał, że kot — wpatrzony w niego krwawo błyszczącymi ślepiami — zaniechał krążenia pod dębem i zaczął skradającymi się ruchami zbliżać ku niemu.

— Jest wściekły — pomyślał doktór -- ale to nic: — wszak jest na smyczy i ma na pysku kaganiec...

Jednak kot zbliżał się nieustannie. Złota smycz rozciągała się w nieskończoność, jak gdyby zrobiona była nie ze złota, lecz z gumy... Kot zbliżał się... Niepokój doktora rósł..

Kot był tuż, tuż.. I oto włosy zjeżyły się na głowie nieszczęsnego weterynarza... Kot prychając zatrutą śliną z pyska, wyciągnął pazury i zatopił je w piersi Wołojada.

— Dobrze mi tak — pomyślał doktór resztą świadomości — należało w rozporządzeniu przewidzieć nietylko smycz i kaganiec, lecz również buty ochronne na łapy...

* * *

Historia nie notuje, co było dalej. Może dr. Wołojad obudził się ze strasznego snu, poczytał ten sen za złowieszcze memento i przystąpił ze skruchą do nowelizacji przepisów obowiązujących w „przedmiocie“ zwalczania wścieklizny. A może — jak w znanej anegdotce, sen był tak okropny, że dr. Wołojad umarł ze strachu nie zbudziwszy się?...

* * *

Wszystko w tym feljetonie jest (naturalnie) czystą fantazją. I pan starosta nie drapał się w głowę, bo ma dobre maniery — i dr. Wołojad nigdy nie istniał, bo nie istnieją ludzie o tak dziwnym nazwisku, jak dr. Wołojad, albo dr. Typs... Wszystko więc zostało przeze mnie wyssane z palca — prócz, niestety — rozporządzenia obowiązującego...

Czytam to rozporządzenie i przecieram oczy. Jakto? Dlatego, że gdzieś na terenie miasta N. zjawił



Prawdziwy przyjaciel zwierząt jakkolwiek korzysta z pracy psa, ochrania go troskliwie przed słotą, jak to widzimy na fotografii.

się urojony, czy nawet prawdziwy wściekły pies, skazujemy tysiące psów, t. zw. przyjaciół człowieka, psów dobrze utrzymanych i dobrze pilnowanych, napewno lepiej utrzymanych i lepiej pilnowanych, niżby je utrzymał i upilnował najsurowszy dozór weterynaryjny — skazujemy na tortury smyczy i kagańca?.. Poco? Poto, by oczyścić miasto od psów bezpańskich, wałęsających się, bezdomnych?... Wolne żarty i — bujać to my — panowie Wołojadowie! Rakarze nie będą napewno łapać psów bezpańskich, bo im się to nie opłaci. Praktyka kilku dziesiątków lat wykazała to z taką oczywistością, że tylko pp. Wołojadowie zrozumieć tego nie mogą... Że gdzieś tam jeden pies bezpański wściekł się i pogryzł człowieka, nakłada się kagańce tysiącom psów czystych, zdrowych, rasowych, które napewno są mniejszymi roznosicielami zarazy, niż niejeden człowiek ..

Ale poza logiką istnieje t. zw. linia najmniejszego oporu i istnieje, niestety, sadyzm... Przed kilkunastu laty pewien profesor uniwersytetu (niestety — tak!) wsławił się aforyzmem, że najbardziej lubi psa na... stole wiwisekcyjnym. Od tego czasu upłynęło sporo wody... Imię sadystycznego profesora zostało napiętnowane i zapomniane — tworzą się i działają towarzystwa opieki nad zwierzętami – wychodzi i obowiązuje ustawa, zakazująca dręczenia zwierząt, pod wysokimi protekcjami i auspicjami, rozwija się kynologia... W kulturalnych krajach po większych miastach budują poidła dla piesków... Mamy i my przedziały dla psów w pociągach i zniżki kolejowe dla naszych czworonożnych przyjaciół... Urządzamy dni dobroci i tym podobne hece sentymentalne ..

Ale wystarczy, by gdziekolwiek zjawił się pies — choćby tylko podejrzany o wściekliznę, a całą naszą kulturę animalofilską, cały postęp — djabli biorą: — rozpoczyna się surowa, tępa, biurokratyczna ofenzywa kagańcowo-smyczowa... *Dr. Typs*

Wierny dog.

Niedawno angielska prasa podała wzmiankę o niezwykłym dogu.

Piotr Johnson — inżynier górniczy we Flamingtonie w stanie Wirginii U. S A. został podczas inspekcji podkopu zasypany zwałami oberwanej skały. Jedynie jego czworożnemu towarzyszowi udało się wydostać z pośród kamieni i gliny. Nie było to, jak się okazało, tylko chęcią uratowania swego życia, lecz przemyślaną rozwagą, która uratowała życie inżyniera.

Dog szczekał i wył, aż zwrócił uwagę gorników. W swej psiej mowie dał do zrozumienia, że pod ziemią nie jest wszystko w porządku. Górnicy zastanawiali się co mogło się stać takiego, aż wreszcie dostrzegli zawalenie się podkopu. Katastrofa okazała się gorszą, niż można było na pierwszy rzut oka przypuszczać. Praca ratownicza była utrudniona, gdyż trzeba było usuwać duże skały i zabezpieczać dostęp, aby nie spotęgować większego niebezpieczeństwa. Trwało to cały tydzień, a pies nie odchodził ani kroku od pracujących drużyn ratowniczych. Wreszcie udało się uratować inżyniera Johnsona, który był zupełnie wyczerpany. Pies z radością dotarł pierwszy do swego pana, liżąc zemdloną twarz inżyniera.

Podczas trwania całej akcji ratunkowej pies nie myślał ani o jedzeniu ani o śnie, chcąc być jaknajbliżej swego pana.

Niemiecki dog inżyniera Johnsona zajmie bezsprzecznie należne mu miejsce wśród sławnych psów.



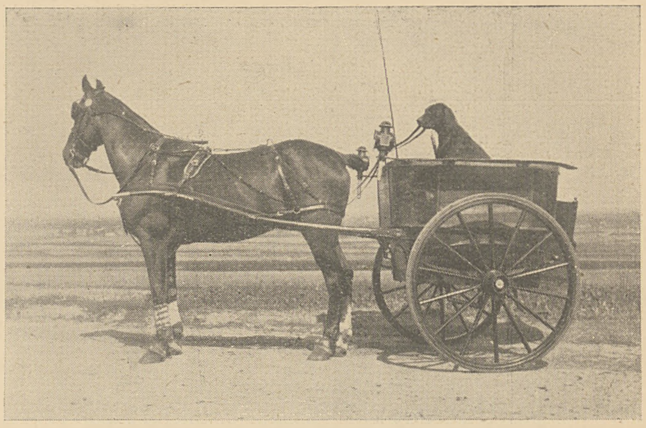
Fot. Dunin-Bartodziejska

Okrutny stosunek do zwierząt pod paszczykiem troski o ludzi

Inspektor - delegatka Zjednoczenia T-w Opieki nad Zwierzętami p. V. H. podaje bardzo charakterystyczny epizod karygodnej obojętności znacznego odłamu naszego społeczeństwa na okrucieństwa, popełniane nad zwierzętami. Przechodząc ul. Marymoncką, inspektorka zauważyła ciężki wóz, naładowany kamieniami, zaprzężony w zbiedzonego i wyniszczonego konia. Wóz jechał w kierunku Zdobyczy, a więc 6 kl. pod dużą górę. Koń słaniał się to w jedną stronę, to w drugą, aż wreszcie stanął ciężko robiąc bokami, cały oblany potem; widać było, jak dobywa resztek sił aby utrzymać się na nogach. Inspektorka zażądała od woźnicy odładowania połowy kamieni — chociaż zdawała sobie sprawę, że trudno jej to będzie przeprowadzić. W trakcie jej rozmowy podszedł do przystanku tramwajowego jakiś przyzwoicie ubrany starszy pan, więc obrończyni biednego zwierzęcia zwróciła się do niego o pomoc w interwencji. Lecz zamiast spodziewanego poparcia, spotkała ją odpowiedź opryskliwa owego pana, wyrażająca oburzenie, że ktoś może żałować konia, a nie żałować człowieka. Człowiek ów, mówiąc nawiasem, pod żadnym względem na litość nie zasługiwał: był to dorodny mężczyzna, wykarmiony, uzbrojony w duże biczysko i duży repertuar soczystych słów, których nie szczędził. Na szczęście nadjechało paru policjantów na rowerach. Jeden z nich obejrzał konia, który wciąż robił bokami, oczami nabiegłemi krwią i po zarządzeniu próby ruszenia — kazał woźnicy zrzucić część kamieni i sporządził protokół. Starszy zaś ów „inteligent" rzucił na inspektorkę pełne złości spojrzenie i podburzał wkoło stojących gapiów. Nawet kilka kamieni przeleciało koło głowy litościwej opiekunki. Policjant był zmuszony odprowadzić ją do Pl. Wilsona i polecić opiece przechodzącego policjanta.

Nie ulega wątpliwości, że bezlitosny starszy jegomość jest również nieczuły na nędzę ludzką, ponieważ człowiek nie ma dwóch serc: jednego dobrego dla ludzi, drugiego zaś okrutnego dla zwierząt. Niestety, dużo się spotyka tego rodzaju obywateli posługujących się oklepanym zdaniem: nie czas jest litować się nad zwierzętami, kiedy są ludzie nieszczęśliwi — mają czas na siedzenie w knajpach, chodzenie do kina i różne inne rozrywki i wówczas im widmo nędzy ludzkiej nie staje przed oczyma—lecz potępiają poświęcenie chwili czasu na obronę umęczonego upadającego pod brzemieniem czworonożnego pracownika, który całe swe zdrowie, siły i życie oddaje ludziom w ofierze.

A gdzie litość chrześcijańska? A gdzie godność człowieka?



Wierni przyjaciele p. rtm. W. Olszowskiego w oczekiwaniu na swego pana.



Fot Dunin-Bartodziejska

W czasie posiłku.

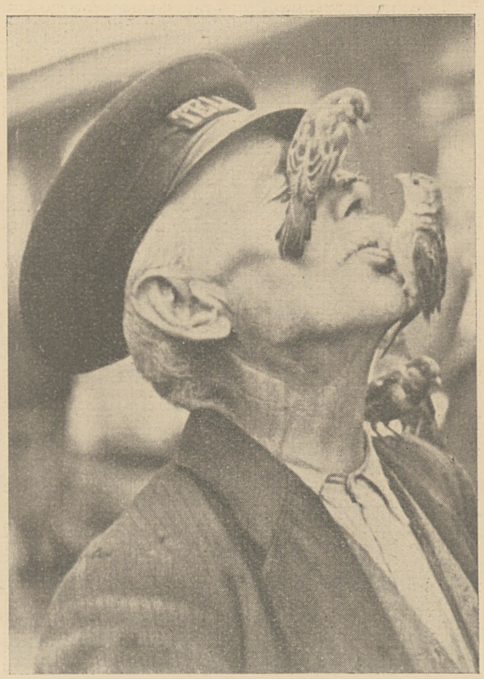
Pełnej krwi araby giną z głodu i wycieńczenia.

Karygodne warunki utrzymania koni stwierdzili inspektorzy-delegaci Zjednoczenia Towarzystw opieki nad Zwierzętami R.P. w majątku p. Wacława Daszewskiego — właściciela stajni wyścigowej.

Do Z. T. O. N. n. Z. R. P, wpłynęło doniesienie następującej treści:

„W Laskach pod Warszawą p. W. Daszewski posiada konie wyścigowe pełnej krwi araby i trzyma je w szopie swego brata Józefa Daszewskiego. Konie te znajdują się w stanie opłakanym z powodu braku jedzenia. Trzy z nich padły już z głodu — reszta słania się na nogach. Jeden z koni, który nie mógł już wstać, podwieszony został na pasach. Klacze wycieńczone poroniły źrebaki na łące. Konie te żywią się nieomal resztkami trawy, wygrzebanej z pod śniegu, raczej przypominają widma, niż konie wyścigowe".

Natychmiast po otrzymaniu powyższego zawiadomienia Inspektorzy-delegaci Z.T.O. n. Z. udali się do wsi Laski gm. Młociny, aby zwiedzić baraki, o których wspomniano w doniesieniu. Niestety, oględziny te w zupełności potwierdziły szczegóły wspomniane wyżej. W prowizorycznej „stajni" — w barakach, skleconych z pojedyńczych desek, o dziurawych dachach i ścianach znaleziono 6 koni ze smutnie zwieszonymi łbami, stojących na zupełnie zgniłej i okropnie mokrej podściółce. Resztę koni znaleziono na łące, gdzie zdobywały same sobie pożywienie, wygrzebując zgniłą trawę z pod śniegu. 16 koni — pełnej krwi arabów i anglików, oblepionych brudem, o wystających żebrach i zapadniętych bokach, przedstawiały żałosny wygląd. Kilka z nich miały chorobę skórną (liszaje) i drapały się o pobliskie drzewa. Przegasłe ich oczy świadczyły o męczarni powolnego zamierania z głodu. Jeden z koni miał wybite, niczym nie opatrzone oko, z którego ciekła ropa. Najtragiczniej wyglądał źrebak, stojący nieruchomo, jakby zastygły z bólu, widocznie ginący z wycieńczenia.



Mathias Elzelsdorfer z Wiednia nadesłał nam powyższą fotografię. Jest to bardzo biedny człowiek, który jednak ostatnim kęskiem dzieli się z ptakami.

Trudno było naprawdę uwierzyć, aby własciciel stajni wyścigowej i obywatel ziemski mógł doprowadzić do tego stanu szlachetne zwierzęta. Tyle się ostatnio mówi i pisze o podniesieniu poziomu hodowli koni w Polsce, nawet wyścigi zawdzięczają swą egzystencję potrzebie utrzymania hodowli koni na należytym poziomie — tymczasem tuż pod Warszawą piękne okazy szlachetnej krwi koni dosłownie giną z głodu. Sporządzony przez Inspektorów delegatów Z.T.O. n. Z. protokuł nie odniesie skutków doraźnych. Może czynniki miarodajne zainteresują się tym karygodnym przykładem marnowania tak cennego materiału, jakim są konie w kraju jeszcze nie zmotoryzowanym.

Podajemy do wiadomości miłośników ptaków, że na terenie parku Paderewskiego została ustawiona przez Zarząd Miasta woliera. Wszystkie znalezione i skonfiskowane ptaki mają w niej zapewniony czasowy przytułek.

Zdziczałe elementy atakują obrońców zwierząt.

10 lutego na targowisku końskim sprzedany został chory koń niejakiemu Franciszkowi Rutkowskiemu, zam. w Zaciszu gm. Bródno, z warunkiem, że zwierzę będzie zlikwidowane w rzeźni, ze względu na słabość przednich nóg i niezdatność do pracy. Po pewnym czasie właścicielka p. H.O. dowiedziała się, że Rutkowski sprzedał konia do pracy Edwardowi Rosłoniowi, zam. również w Zaciszu, i że nowonabywca używa konia do ciężkich robót. Właścicielka postanowiła odkupić nieszczęsne zwierzę, lecz wobec odmowy nowonabywcy zwróciła się o pomoc do Zjednoczenia T-stw Opieki n. Zwierzętami w Warszawie.

Dnia 12 lutego kierownik inspekcyjny p. Adam Fels udał się z inspektorami-delegatami ZTONZ pp. Nowakiem i Szurkiem do wsi Zacisze. Na szosie spotkali Rosłonia, który jechał wyniszczonym koniem, zaprzężonym w dodatku do nadmiernie obciążonego wozu. Na interwencje inspektorów Rosłoń zaczął się awanturować i widząc, że może nadejść pomoc policyjna począł okrutnie smagać z całej siły konia, usiłując uciec. Gdy to mu się nie udało, rozwścieczony zaatakował, usiłujących go zatrzymać inspektorów, uderzył p. Felsa w rękę i zaczął okładać batem p. Szurka. Przejeżdżający tą drogą inni furmani zajęli groźną postawę wobec obrońców zwierząt i, gdyby nie obecność policjanta, który nadszedł w tym momencie, doszłoby do poważniejszego konfliktu. Niestety, należy stwierdzić, że brak rygorów w dziedzinie eksploatacji zwierząt rozzuchwala i demoralizuje pewne elementy, które z braku hamulców dają upust swym sadystycznym instynktom przez dręczenie zwierząt.



Fot W. Katzal.

Tak wygląda niepielęgnowany i źle utrzymany pies — rasy komondor w zagrodzie wiejskiej z okolic Równego.

Odczyty w Z. T. O. n. Z.

W lokalu Z. T. O. N. Z. odbywają się co miesiąc odczyty. Dotychczasowe odczyty pp. Radcy Kaczmarczyka, „O uprawnieniu inspektorów“, D-ra wet. Sienczewskiego — „Pomoc w nagłych wypadkach“, Gen. Zaruskiego — „Wrażenia o ochronie zwierząt zagranicą“ i D-ra wet. Zgorzelskiego — „O wściekliźnie“ — zgromadziły dużo osób, co świadczy o zainteresowaniu i celowości takich pogadanek, tymbardziej, że po każdym odczycie jest prowadzona żywa dyskusja.

„Ochrona Przyrody“

Ochrona Przyrody, Organ Państwowej Rady Ochrony Przyrody, rocznik 17, Kraków, ul. Lubicz 4b, rok 1937. Stron 361.

Ostatni rocznik „Ochrony Przyrody“ przynosi w I części 20 bardzo ciekawych rozpraw. Między innymi: A. Wodzickiego — „Planowanie kraju drogą do utrzymania równowagi w przyrodzie“. Bogdana Tretera: „Ochrona krajobrazu i cech regionalnych w budownictwie wiejskim w ramach przepisów budowlanych“. Adama Kuncewicza: „Planowanie regionalne, sprawy budowlane — a ochrona przyrody“; Jana Marchlewskiego i Jana Wilburga: „Krótkoszpangadożer; Ludwika Sitowskiego: „Drozd skalny“—itd.

Rozpowszechniając czasopismo „Świat i Przyjaciel Zwierząt“ przyczyniacie się do szerzenia idei Zjednoczenia Towarzystw Opieki nad Zwierzętami.

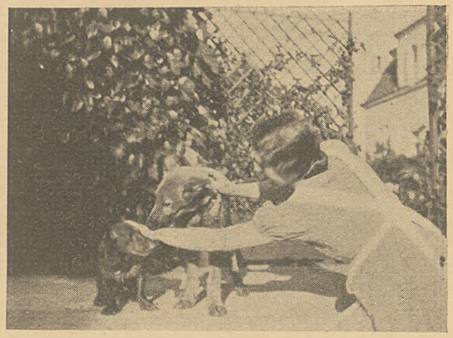
Prosimy o jednanie prenumeratorów i członków Towarzystw Opieki nad Zwierzętami.

Pies, który szukając swego domu przewędrował 5.000 klm.

Z Nowego Jorku donoszą o niewiarogodnym wyczynie szkockiego owczarka: W styczniu 1937 r. wybrał się jeden z farmerów z miejscowości Silverton w stanie Oregon w dłuższą podróż do Wolcott w stanie Indiana. W podróży tej towarzyszył mu „Bobby"— szkocki owczarek. Aby dojść do celu musiał farmer przebyć ze swoim psem 3000 ang. mil. W czasie gdy pan załatwiał jakieś sprawy, pozostawiwszy psa przed sklepem, zbliżył się do zwierzęcia jakiś amator, który ogłuszywszy owczarka porwał go i uciekł. Wszelkie poszukiwania nie odniosły skutku.

Mądry pies wykorzystał jakąś sposobność, uwolnił się z więzienia i zaczął poszukiwać swego pana. I tu rozpoczęła się niewiarogodna tułaczka psa, który przemierzył 3000 mil i doszedł z powrotem do Oregonu. Była to pora zimowa, gdy „Bobby" rozpoczął swą wędrówkę. Musiał on przemierzyć pokryte śniegiem i lodem niedostępne wzgórza Rocky Mountains i przepłynąć wiele rzek. W czasie tej tułaczki był narażony na ciągłe niebezpieczeństwa, gdyż ślady blizn, jakie zachowały się na jego ciele, wskazywały, iż do psa strzelano śrutem. Gdzie niegdzie znalazł on przytułek i serdeczne przyjęcie. Jak zdołano ustalić, niektórzy dobrzy ludzie, widząc zbiedzone zwierzę, okazywali mu pomoc i udzielali przytułku. Gdy pies dochodził z powrotem do formy i do sił, opuszczał on natychmiast dom swych przygodnych dobroczyńców i pędził do swej ojczyzny. Po trzech długich miesiącach doszedł pies w końcu do swego domostwa i z oznakami największej radości i z głośnym szczekaniem przypadł do nóg swego pana. Nowojorskie dzienniki opisywały ten fakt szeroko. Pies stał się ulubieńcem całej miejscowości, a właściciel jego otrzymał, oczywiście, natychmiast kuszące propozycje z Hollywood.

„Tier-Börse, Dresden"



Jamnik i owczarek niemiecki p. Rudzińskiej.

Podatek albo życie... psa

Barbarzyński projekt magistratu

Magistrat poznański, chcąc przyśpieszyć ściąganie zaległych podatków od psów, zwrócił się do urzędów skarbowych z wnioskiem, by nie zajmować za podatki mebli lub innych nieruchomości, lecz psy.

Zajęte psy odstawiane zostaną do zakładu miejskiej obławy psów, gdzie po 2 dniach będą zgładzane o ile właściciele ich nie uregulują zaległych podatków.

Projekt magistratu wywołał słuszne oburzenie wszystkich właścicieli psów.

Spodziewać się należy, że władze skarbowe nie zgodzą się na tego rodzaju „humanitarne" egzekucje, a na projekt magistratu odpowiednio zareaguje Tow. opieki nad zwierzętami.

Zarząd Oddziału Warszaw. Z.T.O.Z. w Warszawie, uprzejmie prosi Członków o łaskawe przybycie na **WALNE ZGROMADZENIE** członków, Oddz. Warsz. Z.T.O.Z. które odbędzie się w dniu 20 marca 1938 r. w lokalu Resursy Obywatelskiej. Krakow. Przedmieście 64, o godz. 10-ej rano z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie i wybór Prezydium W. Zgr. i Komisji Skrutacyjnej.
2) Odczytanie protokułu ostatniego Walnego Zgromadzenia Oddziału Warszawskiego Z. T. O. n. Zw. R. P.
3) Sprawozdanie Zarządu: a) z działalności i b) finansowe.
4) „ Komisji Rewizyjnej i udzielenie Zarządowi absolutorium.
5) Preliminarz budżetowy na rok 1938.
6) Wybory uzupełniające 6 ciu ustępujących członków Zarządu (Art. 64) i 5-ciu zastępców oraz 3-ch członków Komisji Rewizyjnej i 2 ch zastępców.
7) Wybory 27-miu delegatów Oddziału Warszawskiego na Walne Zgromadzenie Zjednoczenia (Art. 24) T-stw Opieki nad Zwierzętami R. P.
8) Udzielenie pełnomocnictwa Zarządowi Oddziału Warszawskiego Z.T.O. n. Z.R.P. w sprawie zapisu śp. Adolfa Hiebscha.
9. Wolne wnioski.

ZARZĄD
ZJEDN. T-STW OPIEKI n. ZWIERZĘTAMI R. P.
Oddział Warszawski.



„Czuję się bezpieczniej wśród lwów, aniżeli między ludźmi". — Tak mówi p. W. Hopfenfeldt, której podobiznę z lwami widzimy.

Nie bajka

Była na Pradze pewna rodzina. W rodzinie była babcia. Babcia zachorowała i zmarła.

Ulubiona kotka babci ogromnie posmutniała, nic nie jadła, nie szła do rąk. Gdy babcia już leżała w trumnie, kotka skoczyła na piersi babci, zajrzała jej w twarz, krzyknęła dzikim głosem i uciekła czemprędzej z pokoju. Potem latała krzycząc i skowycząc po pokojach, podwórku i strychu... tęskniła za babcią, i płakała mocno. A potem... ludzie zdecydowali, że kotka zwariowała, więc zapakowali ją do pudła, zawiązali sznurem, poszli na most .... i .... rzucili do Wisły!

Niech te kilka wierszy moich będą ci skromnym nagrobkiem, biedne stworzenie co tak mocno, tak wiernie kochało, i któremu człowiek nie potrafił odwzajemnić się — po ludzku!

J. Slepowron.

Z ulicy

Słowa a rzeczywistość.

Na Hożej zetknąłem się „nos do nosa" z pewną panią, bardzo zdenerwowaną.

Czy nie widział pan przypadkiem białego ostrowłosego foksa? — pyta:

— Nie widziałem. A co, zginął?

— Tak. Wyskoczył z domu... Trzepali dywany... No i niema... Oblatałam dookoła, ale napróżno"...

— Trzeba dać ogłoszenie, może przyniosą.

— Naturalnie... Ach Może... Za *tysiąc złotych* nie sprzedałabym jego!.. taki kochany!.. Przepraszam... lecę dalej...

Po godzinie dowiaduję się od mojej gospodyni, że jakaś handlarka na Wilczej złapała błąkającego się foksa, i wsadziła go do worka z widocznym zamiarem odtransportowania dalej.

Zadzwoniłem do Zjednoczenia T. Opieki nad zwierzętami, i przy pomocy Inspektora pies został odebrany (był już gdzieś na strychu!) i przyprowadzony do mnie.

Powiadomiono właścicielkę.

Na drugi dzień przyszła po psa... przyszła wesoła, elegancka, — uszczęśliwiona.

Pies wyraził średnie zadowolenie.

Potem... właścicielka „zguby" długo grzebała się w swej portmonetce, wyjęła... 5 zł. i obdarzyła nimi moją gospodynię.

Chciałem przypomnieć o „tysiącu złotych"—lecz dałem spokój.

Podziękowania.

Zarząd Zjednoczenia Towarzystw Opieki nad Zwierzętami R. P. w uznaniu zasług na polu opieki nad zwierzętami i współpracy z organami Z. T. O. n. Z. tą drogą składa podziękowania funkcjonarjuszom P. P.

Policjantowi Nr. 3244 Stanisławowi Ziembie z XV Kom. P. P.

Policjantowi Nr. 1449 Antoniemu Witkowskiemu z XXV Kom. P. P.

Policjantowi Nr. 3127 z XV Kom. P. P.

Policjantowi Nr. 1100 Zygmuntowi Józefowiczowi z XIII Kom. P. P.

Policjantowi Nr. 2279 Marianowi Szatkowskiemu z Kom. XIV P. P.

Policjantowi Nr. 2021 Mieczysławowi Krysce z Kom. XV P. P.

Policjantowi Nr. 1737 Józefowi Chmielewskiemu z Kom. XV P. P.

Policjantowi Nr. 802

Policjantowi Nr. 2343 Jerzemu Markiewiczowi z Kom. VI P. P.

Komendantowi Wartowni P. P. Franciszkowi Kaczmarkowi, Targówek-Osiedle, gm. Bródno, pow. Warsz.

Policjantowi tej samej wartowni Janowi Karpiczowi.

TYLKO DWA TYGODNIE?

Starostwo grodzkie północno-warszawskie skazało na dwa tygodnie bezwzględnego aresztu pewnego osobnika, który obskubywał żywe gołębie i wydłubywał im oczy. Pozwalam sobie wyrazić zdanie, że dwa tygodnie aresztu za takie bestialskie skłonności, to naprawdę zbyt łagodna kara! Znam na Zachodzie kraje, skądinąd bardzo cywilizowane, w których człowieka, dopuszczającego się podobnych okrucieństw, zlinczowanoby na poczekaniu; a już conajmniej danoby nauczkę tak dotkliwą, że jegomościowi odechciałoby się raz na na zawsze dręczenia żywych stworzeń...

●

A zatem — dwa tygodnie. Jesteśmy w wielu wypadkach, społeczeństwem, stosującym nader miękkie sankcje. Zapewne tej właśnie okoliczności przypisać należy, że niepodobna wyprowadzić ulubionego psa na przechadzkę — żeby go ktoś nie potrącił; niepodobna pokazać się z kotem na ulicy — żeby go ktoś nie poszczuł; o martyrologii innych zwierząt domowych możnaby pisać tomy; co drugi, albo trzeci koń jest ochwacony, okaleczony, skatowany; niewesoły jest również los naszych ptaków śpiewających, dostających się w ręce „amatorów"... Ramię sprawiedliwości społecznej — w innych wypadkach bardzo długie i uderzające arcyboleśnie — dla tego rodzaju przestępstw ma bardzo dużo wyrozumiałości!

●

Podróżny, przybywający do nas z Anglii i mający w świeżej pamięci obraz idealnych, gentlemańskich wprost stosunków między ludźmi a przedstawicielami świata zwierzęcego, odrazu markotnieje... Zresztą, pocóż przytaczać Anglię, słynną z humanitarnego stosunku do zwierząt? Weźmy inny, bliższy kraj, chociażby Francję, pod wieloma względami również dość konserwatywną, a nawet zacofaną społecznie! Na każdym kroku widujemy tam psy, towarzyszące ludziom w ich codziennych zajęciach... Mądry foksterier, czy szpic, towarzyszący kierowcy samochodu, to obrazek zupełnie pospolity... Rasowy kot w czapraczku, albo kołderce, towarzyszący z komiczną powagą swojej właścicielce, udającej się do kawiarni, lub do kina, to także widok codzienny... Ale ani we Francji, ani w Anglii, nikomu nie przychodzi do głowy dręczyć niepotrzebnie zwierząt kagańcami... Ale ani w Anglii, ani we Francji nie wynikają na każdym kroku kontrowersje z tego powodu, że ktoś chce zabrać ze sobą zwierzę do tramwaju, lub autobusu... Piszący te słowa przypomina sobie taki fakt, że do autobusu pośpiesznego, kursującego między Nizzą a Cannes, dostał się, w jakiś tajemniczy sposób, mały bury kotek — zwierzę bezpańskie. Otóż konduktor i szofer niezwłocznie zaopiekowali się tem zwierzęciem, jak gdyby to był ich obowiązek. Pasażerowie natłoczonego wozu pilnie uważali, żeby śmiesznego kociaka nie potrącić, albo nie nadepnąć... Chodził sobie po wielkim pullmannie, jak po własnym domu! Ciekawy jestem jakby też u nas się zachowywali panowie konduktor i kierowca? Coby też na obecność bezpańskiego kociaka, powiedziała „nerwowa" część publiczności, „bojąca się" kotów? Niestety, obawiam się, że kocinę poprostu wyrzuconoby z autocaru na najbliższym przystanku, nie dbając o to, czy nie wpadnie „malec" pod najbliższą maszynę... Co komu do tego? Czy to jego kot?

●

Tego rodzaju refleksje przychodzą mi do głowy, gdy czytam o dwu tygodniach aresztu za wydłubywanie oczu żywym ptakom i wyskubywanie im piór. Nie jestem zwolennikiem chłosty; ale zdaje mi się, że w pewnych wypadkach byłoby to jedyne lekarstwo na ciemną, złośliwą, chamską ludzką dzicz, zatruwającą swym niezdrowym oddechem nasze życie gromadzkie...



We wsi Maczułki pow. Równieńskiego koloniści przemęczają swe konie zwózką drzewa i przy tak ciężkiej pracy bardzo źle odżywiają swych żywicieli. Oto jak wygląda przeciętny koń z tej wsi.

Fot W. Loga

Pies w Anglii

Na marginesie wystawy rasowych psów Cruft's Dog Show.

Londyn, w lutym 1938 r. — Powszechnie znaną jest rzeczą, że w Anglii hodowane są najpiękniejsze rasy psów, ale o miłości, jaką Anglik otacza psa, można mówić dopiero, gdy się zobaczy na własne oczy w Anglii stosunek człowieka do psa.

Ile psów żyje w Anglii, trudno ściśle określić, podatek opłacany jest od przeszło 3.000.000.

Przyjmując, że rocznie opłacany jest podatek od 3.000.000 psów po 7 sz. 6 p. od każdego, otrzymamy cyfrę 1.125.000 funtów. Jeśli przyjmiemy, że tygodniowy wydatek na wyżywienie psa wynosi 2 s. (a tyle wynosi co najmniej), otrzymamy, że rocznie na wyżywienie psów Anglicy wydają 15.600.000 funtów, co wraz z podatkiem daje sumę ok. 17.000.000 funtów (ok. 440 milionów zł.).

Te kilka cyfr ilustruje dostatecznie wymownie pozycję, jeśli wolno się tak wyrazić, psa w Anglii. Uwagę obcokrajowca w Anglii zwraca nie tylko ogromna ilość psów, ale i to, że psy chodzą po wielkim Londynie bez kagańca i bez smyczy. Są bardzo łagodne, pięknie utrzymane i niczego się nie boją.

Niedawno otwarta została w Londynie doroczna wystawa psów rasowych (Cruft's Dog Show) Otwarcie wystawy zapowiadały pisma na kilka tygodni przed terminem, a gdy wreszcie dokonano jej uroczystego otwarcia, wszystkie pisma, nie wyłączając tak poważnych jak „Times" i „Manchester Guardian", pełne były fotografii i sensacji w rodzaju takich, że na przykład powszechną uwagę na wystawie zwraca uwagę maleńki pekińczyk, który przybył do Wielkiej Brytanii z Karlsbadu (następuje opis jego drzewa genealogicznego i nazwisko właściciela). Oryginalność pieska polega na tym, że sierść jego jest trójkolorowa. Informacje te, zamieszczane na naczelnym miejscu, czytane są przez Anglików z równym zainteresowaniem, jak depesze z zagranicy lub sprawozdania z Izby Gmin.

Wystawa rasowych psów mieści się w wielkich salach Agricultural Hall (parter i pierwsze piętro), gdzie ustawiono specjalnie przygotowane pomieszczenia dla psów oraz urządzono „promenady", gdzie właściciele spacerują z psami, demonstrując je jednocześnie zwiedzającym. Setki i tysiące najprzeróżniejszych psów, dziesiątki ras, uporządkowane i porozdzielane, a przede wszystkim tłumy ludzi. Tłumy zwiedzających i tłumy właścicieli psów, którzy wystawiając na wystawie swych ukochanych pupilów, siedzą z nimi przez cały dzień, a tylko na noc idą do domów. Elegancki gentleman z zatkniętym na kapeluszu numerem swego psa siedzi z podkurczonymi nogami w przegródce psiej na słomie i głaszcze psa, który zdenerwowany ruchem i brakiem swobody, nie chce się położyć. Jedna, druga i dziesiąta piękna lady we wspaniałym futrze siedzi na małym, składanym stołeczku przy swoim wychowanku, popija herbatę i mówi, uśmiechając się do psa. Gdy grupa zwiedzających zatrzyma się przed przegródką i podziwia oryginalność psa, cudowną jedwabistą jego sierść, lub galerię odznaczeń i nagród, umieszczoną w witrynie nad przegródką, właściciel czy właścicielka zaczynają promienieć i tak, jak Anglicy nie są skorzy do rozmów z nieznajomymi, rozpoczyna rozmowę, aby opowiedzieć taki lub inny szczegół, lub obyczaj z życia swego wiernego przyjaciela — psa.

Psa w Anglii nie karmi się resztkami pożywienia ludzkiego, istnieje tam i prosperuje wielki psi przemysł. Liczne firmy produkują specjalne psie potrawy. Są to przeważnie najprzeróżniejsze suchary i sucharki, jako pożywienie twarde, konieczne dla psiego organizmu. Firmy takie, jak Spratts, Spiller, Cremma itp. znane są w całej Anglii. Wyrabiają one nie tylko suchary, ale również lekarstwa i psie „kosmetyki" oraz wydają szereg podręczników, dotyczących spraw wychowania i karmienia (dokładne menu), mycia, czesania i leczenie psa. Spratts produkuje kilkanaście rodzajów sucharków: owsiane, mleczne, mięsne, rybne itp., zawierające preparaty węglowe, żelaziste, wapniowe z witaminami A, B, C i D, lub A, B1, B2 itd. Lista psich leków tej firmy zawiera 39 pozycji — są to gotowe preparaty, które należy stosować psom w różnych przypadkach. Firma ta wyrabia wreszcie gąbki i szczotki dla psów,mydła i inne kosmetyki.

Lady, która wyjeżdżając na wypoczynek, nie może zabrać psa, po prostu oddaje go do psiego sanatorium (The Dog Sanatorium), gdzie pod opieką fachowych sił wychowanek jej przebywa przez cały czas nieobecności swej pani.

Angielskie Ministerstwo Rolnictwa nakazuje, aby psy, które odbywają podróż okrętem w granicach Imperium Brytyjskiego, przechodziły 6-miesięczną kwarantannę. Firma Spratts posiada oddziały we wszystkich portach Imperium i załatwia te sprawy, przejmując psa w momencie przybycia okrętu.

Psi szpital, do którego Anglik oddaje swego chorego psa, leczy go i daje mu wszelką opiekę, nie pobierając za to żadnej opłaty. Letnie pogotowie lekarskie dla psów i innych zwierząt w Londynie jest w każdej chwili gotowe do udzielenia pomocy w nagłym przypadku. Wspaniale nowocześnie urządzona karetka tego pogotowia — samochód, z pewnością lepiej wyekwipowana niż niejedna karetka pogotowia ratunkowego, niosącego pomoc ludziom, zjawia się na każde żądanie w błyskawicznym tempie.

„Psie szaleństwo" ogarnia całą Anglię i niejedna rodzina rzemieślnika czy robotnika angielskiego za pieniądze zaoszczędzone z trudem kupuje psa (ceny psów wahają się od 5—40 gwinei, tj. ok. zł. 140 — 1000), by potem, odejmując często własnym dzieciom i sobie od ust, kupować im suchary Sprattsa lub inne, z witaminami A, B i C, aby zgodnie z przepisami dziennej diety psiej utrzymać w zdrowiu i radości życia ukochanego pupilka.

Sztywny i zimny Anglik, obojętny niejednokrotnie na niedolę bliźniego, zmienia się tylko w stosunku do swego psa, Szofer, który przejedzie na ulicy człowieka, podlega suchej odnośnej literze prawa, ale biada szoferowi, który przejedzie psa lub kota — tłum przygodnych przechodniów gotów jest dokonać na nim samosądu na miejscu Sentyment Anglików do zwierząt jest znacznie większy niż do ludzi, najwyższym tego przejawem jest czynnie działające i posiadające liczne rzesze zwolenników Towarzystwo do Zwalczania Wiwisekcji (National Antivivisection Society), które zbiera tysiące podpisów pod protesty z powodu używania królików i myszy doświadczalnych do badań naukowych.

Przyjaciel psa.

Rozporządzenie

Komisarza Rządu m. st. Warszawy z dnia 14 listopada 1928 r. w przedmiocie zwalczania wścieklizny zwierząt na obszarze m. stołecz. Warszawy.

Na podstawie Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 22 sierpnia 1927 r. o zwalczaniu zaraźliwych chorób zwierzęcych (Dz. U. R.P. Nr. 77 poz. 673) oraz rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 9 stycznia 1928 r. wydanego w porozumieniu z ministrami: Spraw Wewnętrznych, Skarbu i Komunikacji w sprawie wykonania Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 sierpnia 1927 r. o zwalczaniu zaraźliwych chorób zwierzęcych (Dz. U. R.P. Nr. 19 poz. 167), zarządzam co następuje:

§ 1.

Obszar m. st. Warszawy uznaje się za zagrożony wścieklizną.

§ 2.

Psy przebywające na tym obszarze winny być przez osoby, w których posiadaniu się znajdują, zarejestrowane i zaopatrzone w znaki rejestracyjne przymocowane do obroży. Za należyte zarejestrowanie i właściwy znak rejestracyjny uważa się dokonanie rejestracji obecnie przeprowadzanej w Magistracie m. st. Warszawy i znak wydany przy rejestracji przez ten urząd, stosownie do przepisów statutu podatku miejskiego od psów (uchwała Rady Miejskiej m. st. Warszawy z dnia 5 czerwca 1924 r., zatwierdzona pismem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 7 sierpnia 1924 r. Nr. S.M. 3904/24), względnie, o ile chodzi o psy wprowadzone, rejestrację dokonaną w innym właściwym do rejestracji urzędzie.

Ostateczny termin rejestracji wyznaczam na dzień 31 grudnia 1928 r.

§ 3.

Wyprowadzanie (wywożenie) psów z obszaru m. st. Warszawy dopuszczalne jest tylko za zezwoleniem właściwego starosty grodzkiego po uprzednim uznaniu psa za niepodejrzanego o wściekliznę przez właściwego powiatowego lekarza weterynaryjnego.

§ 4.

Psy wszelkiego rodzaju poza obrębem mieszkań winny być prócz obroży ze znakiem rejestracyjnym zaopatrzone w bezpieczny kaganiec i prowadzone na smyczy. Na wyjątki od powyższego zarządzenia może zezwolić właściwy starosta grodzki jedynie co do psów myśliwskich, pociągowych i owczarskich w czasie używania ich do pracy

Psy policyjne w czasie używania ich przez właściwe organy dla celów służbowych są od powyższego zwolnione.

§ 5

Psy, co do których nie zostały zastosowane wymogi zawarte w poprzednich §§, będą chwytane i zabijane. Na wyjątki od powyższego, stosownie do zarządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 23 czerwca 1926 r. Nr. 4741-W.II może zezwolić Minister Rolnictwa. Prośby o zwolnienie od zabicia winny być wnoszone do Ministra Rolnictwa za pośrednictwem właściwego starosty grodzkiego.

§ 6.

Osoba, w której posiadaniu znajduje się zwierzę dotknięte wścieklizną lub podejrzane o tę chorobę, winna do chwili przybycia państwowego lekarza weterynaryjnego odosobnić je zupełnie od ludzi i zwierząt, oraz donieść natychmiast o wypadku najbliższemu posterunkowi policji lub bezpośrednio właściwemu lekarzowi weterynaryjnemu. W wypadkach połączonych z bezpośrednim niebezpieczeństwem dla otoczenia dozwolone jest zabijanie takich zwierząt przed przybyciem państwowego lekarza weterynaryjnego.

§ 7.

Zwierząt dotkniętych wścieklizną lub podejrzanych o tę chorobę nie wolno poddawać leczeniu ani szczepieniu lub ubojowi. Użytkowanie i wprowadzenie w obrót mleka z takich zwierząt i jego przetworów jest zakazane, również wzbronione jest szczepienie zwierząt podejrzanych o zarażenie się wścieklizną oraz schwytanych przy obławach. Na wyjątki stosownie do postanowień § 338 Rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 9 stycznia 1928 r. (Dz. U. R.P. Nr. 19 poz. 77) może zezwolić Minister Rolnictwa. Prośby należy wnosić do Ministra Rolnictwa za pośrednictwem właściwego Starosty Grodzkiego.

§ 8.

Otwieranie zwłok padłych lub zabitych zwierząt dotkniętych wścieklizną i podejrzanych o tę chorobę może odbywać się jedynie w obecności państwowego lekarza weterynaryjnego.

§ 9.

Winni przekroczenia Rozporządzenia będą karani w drodze administracyjnej grzywną do tysiąca złotych lub aresztem do 6-ciu tygodni, względnie grzywną i aresztem łącznie, o ile dany czyn nie jest zagrożony wyższą karą.

§ 10.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie dnia 25 listopada 1928 r. Równocześnie traci moc obowiązującą Rozporządzenie Komisarza Rządu m. st. Warszawy z dnia 30 lipca 1926 r., ogłoszone w Dzienniku Urzędowym Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę z dnia 25 sierpnia 1926 r. Nr. 65.

Komisarz Rządu m. st. Warszawy

(—) *W. Jaroszewicz.*

KWARTALNIK Z. T. O. n. Z. „ŚWIAT i PRZYJACIEL ZWIERZĄT"
Prenumerata: Zł. 3. rocznie w całej Polsce z przesyłką. Zagranicą zł. 7.
Cena ogłoszeń: Cała strona zł. 200, 1/2 str. zł. 110, 1/4 str. zł. 60, 1/8 zł. 40.

Redaktor: **L. Chmielewska.**
Wydawca: **Zjednoczenie Towarzystw Opieki nad Zwierzętami R. P.**
w osobie inż. Czesława Gorzelańskiego, Warszawa, Wilcza, 47 49, tel. 8.66.44.

WACŁAW TOMASZEWSKI, ZAKŁADY GRAFICZNE WE WŁOCŁAWKU